

Wychodzi co piątku, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.

Cena do końca b. r. . . — zlr. 50 et.

z dodatkiem 1 " — "

za pięć miesięcy 1 " 50 "

z dodatkiem 3 " — "

rocznie z przesyłką . . . 4 " 60 "

z dodatkiem 8 " 60 "

NOWINY

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:

„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie, w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

(Ciąg dalszy).

Po rozstaniu się z ojcem, Michał poszedł do ogrodu, i usiadłszy pod drzewem, długo dumał samotny.

Świat miał przed sobą, a nikogo na świecie. Pogardzał tymi co go otaczają, a czuł, że inni nie przyjmą go tak serdecznie, jak przyjęcia tego pragnie dusza młodziana! Chociaż po matce wziął krew męczenników — on moskal, syn niewoli, sługa despotyzmu. Jego własny ojciec...

— O jak to boli, jak boli!... — westchnął młodzieniec. — Nie dla mnie szczęście, radość nie dla mnie! Wzgardziwszy jednymi, nie przyjęty przez drugich, pójdę drogą samotny... A jaki cel życia? Gorzko, gorzko pomyśleć. Gdybyż przynajmniej umrzeć, bohaterską śmiercią wkupić się w człowieczeństwo, zmyć piętno niewoli, co mi czoło plami... O, mnie niebo i tego odmówi! — Ha, z pokorą poddajmy się losowi!... a smutno pomyśleć, że szczęście nie dla mnie... — I znowu zapadł w zadumę.

Widzi ukochaną matkę: błogosławi go, ukrzepia na drodze wytrwania...

— O! ty mi uprosisz szczęście u Boga! jam cię tak bardzo kochał, tak chcę być godnym ciebie!...

Skromny dworek ocieniony lipami, jasnookie dziewczątka, witające go uśmiechem majowego słońca...

— Nie! nie! to być nie może, ażeby niebo odmówiło mi szczęścia! Ja go tak mało pragnę: tylko jej, jej jednej, a cały świat innym zostawiam; ona dla mnie światem całym!... Matko! uprosz mi to szczęście u Boga; to jedno, innego nie chcę!

Łzy ulżyły sercu. Słońce tak jasno świeci; a oko młodziana dostrzega w oddali nie wielką wioskę; oko duszy widzi lipy, dworek i ją, jak skromna, robótką zajęta, wyśpiewywa piosnkę prostą jak ona, i jak ona uroczą.

Dosiadł konia, i już jest przy niej; patrzy w te oczy niebieskie, słyszy bicie jej serca... Błogie chwile! a leć tak szybko jak strzała; ni ich zatrzymać, ni cofnąć w naszej mocy.

— Prawdziwie, że ja siedzę jak na pustyni — zaszczębiało dziewczątka, odrzuciwszy robótkę. — Ciocia krząta się, gospodarząc; radabym śmiać się, weselić, a pan od godziny siedzi taki smutny. Co panu jest? panie

Michale! — A mówi to głosem tak przejmującym, tak rzewnym i słodkim, że dusza młodziana zdrzała, niby harfa, tknięta wiatru powiewem.

— Niech że pan odpowiada, bo się będę gniewać — i odeła śliczne usteczka, którym wiśnie koloru by pozadrościły.

Michał wziął drobną rączkę dziewczęcia.

— Smutno mi — rzekł — że jestem sierotą.

— A, to grzech panie Michale. Bóg daje — Bóg zabiera... — I ja jestem samą; a widzisz przecie, że Boga nie obrażam. Nie mam tatka i mamy; nie mam brata; jestem samą... — i łzy zalały jej cudne oczęta.

— Nie płaczcie, panno Rózo!... Ja nie o takim sieroctwie mówiłem... Wyście szczęśliwi... bo macie ojczyznę — dodał ciszej, i zalał się łzami.

— A pan Michał czy to jej nie ma? — zapytało dziewczę, zdziwione jego słowami.

— Moja ojczyzna — rzekł gorzko Michał — to wstyd młodego czoła, które nie śmie wznieść się, by nań nie wskazano palcem; moja ojczyzna, to niesława własna i pogarda innych... O! źle z taką ojczyzną!

— Nie rozumiem was, panie Michale.

— A rozumieć powinniście. Czy wy wiecie o tem, że kiedyś może brat wasz, wasz blizki, próg mi domu pokaże, bo ja jestem — moskal, niewolnik, carski sługa...

— Biedny panie Michale — ze łzami rzekła dziewczyna. — Czy to wy nie jesteście z nami? Czy nasza Polska nie przyjmie was za syna?... Franio mi dawniej powiadał, że kto na naszej ziemi się urodził, i ją kocha, ten ma prawo do nazwiska naszego brata; a wasza matka przecie była polką...

— Prawda! — mówił Michał smutnie — To mnie rozdwaia, przepoławia. Moskal — zostałbym z mym smutnym losem, i nie miał prawa wymagać współczucia u szczęśliwych... ale ja mogę dumnie nosić głowę, czuję że jestem polakiem; a przecież... bolesna rzeczywistość! jedna ojczyzna dała mi w całości swą spuściznę: noszę znamie niewolnictwa — druga skarbów mi swych odmawia!... Otoż moje sieroctwo, droga Panno Rózo.

— Naszym skarbem — rzekło dziewczę poważnie — niedola, i cierpienie; toż wam chyba od tych skarbów uciekać...

— O! nie krzywdzicie mnie — przerwał jej Michał. — Ja nie tylko dobra chce od drugiej mej ojczyzny! Jej łzy do łez moich, cierpienie do cierpienia! Ja potrafię umrzeć, potrafię się poświęcić; tylko mnie nie odpychajcie od siebie — dodał, błagalnie wyciągając ręce.

Dziewczynynie duże dwie łzy zaświeciły w oczach.

— Was odepchnąć — rzekła. — O, nie! wyście szlachetni, wyście godni imienia polaka.

Michał bezwiednie osunął się na kolana przed Różą.

— Nie odepchniecie mię! — zawołał głosem szczególniejszego rozrzewnienia. — O, moi święci! mój aniele! Rózo! — i gorącymi pocałunkami okrywał jej drobną rączkę.

W tej chwili u progu stanął Dmytro. Jakby niewidząc Michała rzekł do zapłonionej Róży.

— Stożek wywierzony; może panią zechce obaczyć.

Różę ucieszyło wejście Dmytra. W całym zachowaniu się Michała było coś takiego, co ją przejęło trwogą, po raz pierwszy w życiu. Jak lekka ptaszyna Różia wybiegła do drugiego pokoju, wołając ciotkę.

Michał potarł ręką blade czoło, i westchnął. Dmytro patrzył nań w milczeniu; a w całej postawie parobka znać było, że nie bez przykrości ujrzał Michała klęczącego przed Różą. I w tej duszy był jakiś głos; ale go silna wola uwięziła w piersi, i milczał.

— Ciociu! — zaszczebotała Różia w drugim pokoju — stożek wywierzony; dobry Dmytro chce, byśmy go obaczyły; pójdźmy na tok, ciotuniu.

— Dobrze, moja kofeczeko — rzekła ciotka. — Pan Michał z nami? prosimy!

— Panny Róży śliczne ruci całuję — zachrzypiał głos piśmowodителя, i Iwan Iwanowicz, wystrojony odświętnie, ujął rączkę Róży, by złożyć na niej kawalerski całus.

Róża wyrwała rękę.

— Żegnaj pana — rzekła. — Ciociu! chodźmy...

— Państwo na *pragółkę* (przechadzkę) — znowu chrypnął piśmowodiciel, gniewny, że Róża cofnęła rączkę, a uśmiechem starający się pokryć obudzone uczucie. — Taka *ślawna* (piękna) pogoda... Ja pana Michała nie spodziewałem się tu zastać.

— Również jak ja pana tu obaczyć...

— Ja mam *dielo* (interes) z panią Dobrodziejką — rzekł piśmowodiciel, całując rękę ciotki, której mu nie wzbraniała.

— Kiedy tak, — zawołała wesoło Różia — to zostawmy ciotkę w przyjemnym towarzystwie, a sami chodźmy! Wesołej zabawy, ciotuniu! — dodała figlarnie kiwnąwszy główką.

— *Szut dziewczonka!*... (Żartowniś dziewczynka) — mruknął piśmowodiciel, zezem mierząc wychodzących: Różę i Michała, — *Szut*; ale będzie moją żoną, choćby się djabeł naposiadł, bo ja tego chcę!

— Pani Dobrodziejka pozwoli — rzekł głośno — że pomówię z nią otwarcie, bo ja nigdy długo nie mówię. Prosto z mosta! to moja zasada.

— Słucham pana — odpowiedziała ciotka, wskazując gościowi krzesło.

— Ja pani Dobrodziejko — rozpoczął Iwan Iwanowicz — dosłużyłem się, Bogu dzięki, *kolleżskiego asesora*; mam trochę grosza, a głowę na karku mocną, i wyjdę na ludzi! Otóż pomyślałem sobie: do tego wszystkiego

Iwanie Iwanowiczu potrzebna ci jeszcze żona: młoda, ładna, ot jak raz taka, jak panna Róża Barska; ubrał się ja w wic-mundur, rękawiczki, taj przyjechał tu prosić o rękę panny Róży. Coż pani Dobrodziejka na to? Czy wola oddać mi siostrzenicę za żonę?...

Przemowa piśmowodителя wprowadziła ciotkę w niemalą kłopot.

Zaczęła od tego, że sama bez opiekuna o losie Róży postanawiać nie może, że to dziewczę zbyt młode, a w każdym razie od niej wybór męża zależy... i już pocziwiej kobiecie zaczynało braknąć argumentów; ale na szczęście w tej chwili usłyszała głos Róży i Michała, powracających z toku; nie długo też namyślając się, powtórzyła siostrzenicy słowa piśmowodителя, licząc na przytomność Michała, że w razie potrzeby obroni kobiety od zbytnej natarczywości konkurenta.

Ży oburzenia i żalu były odpowiedzią Róży na oświadczenie się piśmowodителя; ściśnięte pięści Michała i Dmytra nakazały mu przezorny odwrót; Iwan Iwanowicz u drzwi wysłuchiwał niemiłe słowa odprawy.

— Więc mnie nie chcecie? panno Rózo! — powążył się jeszcze zapytać wzgardzony konkurent, jakkolwiek w oczach Dmytra wyczytał wielką niecierpliwość.

— Nie chcę! nie chcę! — wołało dziewczę, płacząc. — Ja pana nie cierpię! Pan jesteś zły... nie dobry. — To pan zgubiłeś mego brata.

— Bunt go zgubił, panno Rózo; a ja was szczerze kocham, *jej Bogu!* (dalibóg)

— Milczeć! — wykrzyknął wreszcie Michał — i precz ztąd!

— Jak najdalej! — zawtórzyl Dmytro — bo ja mam chłopską rękę, i jak nie połamię te patyki!

Piśmowoditelowi zaiskrzyły się oczy.

— Dmytra oddam w rekruty! — zawołał — a o pannę starać się wolno każdemu, mój mości panie Michale!

— Jak pan śmiałeś! jak śmiesz jeszcze — krzyknął Michał, postępując ku piśmowoditelowi, który się cofał nie bez trwogi; aż w sieni się znalazłszy, krzyknął:

— Śmiałem! bo nie jestem żaden młokos! nie jestem synem, którego ojciec przeklina...

— Precz! — z rozpaczą krzyknął Michał, którego zraniło przypomnienie sceny w gabinecie ojca; i źle byłoby koło pana piśmowodителя, gdyby w czas nie skoczył na bryczkę, z której jeszcze zawołał:

— Poznacie wy mnie wszyscy! Ty chanie pójdziesz w rekruty! wy panno będziecie moją żoną, a pan Michał jeszcze się może przespacerować do kazamatów.

Turkot kół zagłuszył dalsze słowa rozjuszonego moskala.

Róża w milczeniu podała ręce swym obrońcom.

— Panie Michale! Dmytrze! ciociu! — rzekła ze łzami — wy mnie obronicie przed tym złym człowiekiem, nie pozwolicie na mą zgubę.

Uścisk ręki i spojrzenie były wymowną odpowiedzią na słowa zaleknionego dziewczęcia.

Z długiej narady wypadło, że oprócz osobiście przedsiębranych środków obrony we dworku, należy jeszcze uwiadomić hrabiego, o niebezpieczeństwie grożącym jego pupilli.

Z wiadomością o tem co miało miejsce we dworku pojechał do hrabiego, Michał.

Nie bez drzenia zbliżał się Michał do domu hrabiego. Syn sprawnika w domu patrioty polskiego jakież mógł znaleźć przyjęcie? Obojętne... może pogardliwe?... Na tę myśl ścisnęło się serce szlachetnego młodzieńca, a oko łza zabiegło.

— Pogarda — mówił sam do siebie, zwolnwszy cugle koniowi — ha, słusznie! pocożem się urodził synem carskiego policjanta! Gorzki los... I to tak zawsze, na wieki... O! mam dosyć dumy, by nie stanąć przed wami; ale tu o nią idzie; tylko hrabia może ją zasłonić przed napaścią tego nikczemnika, gdy ja odjadę. Zresztą Adam tak dobrym był dla mnie w Kijowie...

Przyspieszył biegu koniowi, i wkrótce znalazł się przed gankiem pałacu.

Hrabia z synem był w ogrodzie; tam się też udał Michał. Zebrał wszystkie siły, przywołał całą przytomność umysłu, i wszedł do altany.

Znalazł się w towarzystwie kilku mężczyzn w rozmaitym wieku; ujrzał znanego sobie syna hrabiego zajętego żywą rozmową z jednym z gości.

Szlachetne oblicze hrabiego, na którym rozlany był wyraz dobroci, ośmieliło Michała; ale myśl, że za wymówieniem nazwiska spotka się z wyrazem pogardy odebrała mu odwagę, tak dalece, że przez chwilę nie mógł słowa wymówić; na szczęście ujrzał go Adam, i wziąwszy za rękę przedstawił zebrany.

— Michał, mój kolega.

Młodzieniec silnie uściskał podaną sobie rękę, i — „dziękuję!” rzekł zcicha, a oczy dopowiedziały resztę.

Hrabia uprzejmie przywitał Michała, a że lokaj donosił, iż herbata przygotowana, całe towarzystwo udało się ku pałacowi.

Przez drogę Michał opowiedział koledze z czem przybył do hrabiego, gorąco prosząc go o wstawienie się do ojca, by nie odmówił swej opieki sierocie.

— Nie znasz mego ojca — rzekł na to Adam — nie trzeba go prosić o pomoc, bo sam z nią chętnie popiesza; a ta panienska, o ile wiem, bardziej go interesuje. Uspokój się więc kolego! nie damy jej krzywdzić nikomu.

Rozmowę młodych przerwała dyskusja ogólna; zapytany o zdanie Michał, odpowiadał skromnie i z namysłem; pomimo to uczuł natychmiast, że jest w pozycji drażliwej: rozmowa toczyła się o kraju, o jego stanie obecnym i nadziejach na przyszłość; mówiono w duchu narodowym polskim.

(D. c. n.)

K i j ó w.

W kołomnie niegdyś Carogród słowiański,
Podemną Dniepru płyną sine wody;
Nademną wspięty błyszczy namiot Pański.
A wszędzie kaźnie! a nigdzie swobody!

W łańcuchy zkute przesławne narody
Milionowe wznoszą w niebo jęki.
Kiedyż o Panie! powiesz je na gody,
By skarb wolności wzięły z Twojej ręki?

Sto świątyń Pańskich krzyżem w niebo strzela.
Wiernie je sługi postawiły Tobie;
A w nich się modlą za nieprzyjaciela
Twego, i wierni Twoi są w żalobie.

Czyliż ich mękom ma być koniec w grobie? —
Nie! Ty dasz siłę zwyciężyć szatana,
I wolne ludy, w wyzwolenia dobie,
Więzy swe złożą u ołtarzy Pana.

Z H e j n e g o.

Nas małych dwoje dziątek
Lubiło pusto żyć...
Gdzie siana był dostatek,
Tam biegliśmy się kryć?

W kurniku, skryty w siano,
Nuż pjać, com siły miał:
Ku-ku-ry-ku!... Myślano,
Że istotny kogut pjał!

W dziedzińcu skrzynia stara
Służyła naszym grom:
Tam nas mieszkala para,
Prowadząc wielki dom...

I tam wizyty kotki
Przyjmować zwyczaj był;
Nuż w komplementa, plotki,
Nuż w chychy z całych sił!

Witaliśmy się mile...
Pieścili... Ale cóż?
Pieściłem po tę chwilę
Nie jedną kotkę już!

To znów jak ludzie starzy
Gawędziliśmy sobie wraz;
I każde z nas się skarży,
Że lepszy dawny czas.

Że młodzież dziś szaleje,
I wiara dziś nie w smak,
I kawa że drożeje,
I że pieniędzy brak!...

Ach, wspomnień pierzchła mara...
I wszystko mija wraz:
Pieniądze... miłość... wiara...
I my... i świat... i czas!...

Aureli Urbański.

Autobiografia orientalisty Polaka.

Podał Łucjan Tatomir.

Literaturze naukowej polskiej zarzucano niejednokrotnie i słusznie poniekąd brak wszechstronności, wyłączne zamknięcie się w kole ściśle narodowym i pewien jakoby wstręt do wstąpienia na pole kosmopolityczne nauk w ogólności. Jest to jednakże nie tyle winą naszą, ile raczej skutkiem naturalnym wyjątkowego położenia naszego. Od lat stu już blisko są warunki naszego bytu narodowego tego rodzaju, że literatura polska nie mogła rozwinąć swej naukowej strony do potęgi ogarniającej wszystkie gałęzie wiedzy zarówno, nie mogła bowiem ani na chwilę stanąć niezawisłe i oderwać się od życia narodowego, którego do niedawna jeszcze jedynym była objawem i jedyną przedstawicielką, a tem samem nie mogła wznieść się w tę wyższą sferę wszechstronnych badań i dociekań naukowych, gdzie nauka, wyzwalając się z pod wpływu wypadków codziennego życia, staje się celem tylko dla siebie samej. W porównaniu do teraźniejszego stanu piśmiennictwa naukowego narodów zachodniej Europy mamy, okrom dziejopisarstwa narodowego, bardzo mało do wykazania na polu ściśle naukowych badań; uwzględniając jednak nasze wyjątkowe położenie, zaważy wiele i ta odrobina, jakoby grosz wdowi na szali sprawiedliwości Bożej.

Ale jeżeli nie jest to naszą winą, że nie wydaliśmy więcej dzieł uczonych kosmopolitycznej natury, toć tem większa wina spada na nas za to, że nie umiemy oceniać tych niewielu, które posiadamy; że zapominamy niestety zbyt często o tych z pośród nas, którzy się poświęcili bezwzględnie pracom naukowym, odstępując ich i opuszczając, jakoby braci zbłąkanych i straconych.

„Nauka nie udziela ze siebie ni odrobiny temu, kto się jej nie odda w całości — powiada jeden z uczonych Wschodu — to też kto jej się poświęcił cały potrzebuje, aby nim się opiekowano.” U narodów niepodległych jest taka opieka cnotą obywatelską, u nas jest ona obowiązkiem, w którym nikt nas nie zastąpi i nie wyręczy.

A ileż to razy zaniedbujemy tego obowiązku? Uderzmy się w piersi i przynajmy się do winy! Iluż to talentom daliśmy zmarnieć, — ilu genjuszom pozwoliliśmy zginąć w nędzy, ilu pracowników naszych na polu nauk strawiło swój wiek nad księgami, daleko od ojczystej strzechy, nieznanym prawie swym rodakom, którzy nie wywdzięczyli się im za trud całego żywota ani chlebem, ani nawet słowem? — Ale pomińmy tych, których nie ma już pośród nas, bo oto żyjący stają przed nami i otwiera nam rozżalone serce swoje. Jest nim Ignacy Pietraszewski.

Nazwisko to będzie zapewne obcem dla większej części czytelników polskich. A przecież Pietraszewski pisał po polsku, pisał nawet o rzeczach Polaków obchodzących, i liczy się do rzędu uczonych europejskiego imienia; a przecież Pietraszewski, oddając pierwszą swoją książkę do druku, napisał we wstępie do niej: „Nie chęć sławy, ale obowiązek służenia sprawie ogólnej, narodowej był mi bodźcem do złożenia tego pierwszego kłosa żniwa mego na ołtarzu matki ojczyzny” i poświęcił ten pierwszy owoc swojej pracy „szlachetnym i wiernym rodzinnej ziemi bra-

ciom.” Pietraszewski więc, jakkolwiek pędzony losem i żądzą nauki po dalekich stronach Azji, pamiętał o swych rodakach — ale rodacy jego zapomnieli o nim. W naszych historjach literatury, wyjąwszy ostatnie wydanie Łukasze-wicza, nie masz ani wzmianki o Pietraszewskim, a w pismach naszych literackich również o nim głucho. Dlaczego? — Dlatego, że Pietraszewski rzucił się na pole naukowe, leżące poza owymi granicami, które wyjątkowo tylko przekracza piśmiennictwo polskie — poświęcił się studjom języków orientalnych.

Więc chociaż tłumaczył dziejopisów tureckich do dziejów Polski się odnoszących, choć w starożytnym języku Zendawesty śledził początków słowiaństwa, choć wydał kilka tomów dzieł wielce uczonych za własny krwawo zapracowany grosz, choć go Niemcy zrobili doktorem i nadzwyczajnym profesorem przy uniwersytecie w Berlinie, choć go Szach perski wysokimi ozdobił orderami — dożył po siedmziesięciu latach mozolnej pracy o głodzie i chłodzie tego, że musi sam przypomnieć się rodakom i prosić o grosz, nie na chleb broń Boże! — lecz na dokończenie druku dzieła, które jak powiada pisał „dla sławy i chwały Polski, a ukochał jak matka dziecię”, i które też będzie prawdopodobnie ostatnim płodem jego ducha spracowanego.

Przed kilkoma tygodniami ogłosił Pietraszewski w dzienniku swoich stron rodzinnych (Bromberger Kreisblatt Nr. 65 z r. b.) w niemieckim języku swoją biografję. Jest to jakoby spowiedź starca, który przebywszy ciężką cierniową drogę żywota, wybiera się na wieczny spoczynek i gasnącym głosem nie prosi o nic więcej jak tylko o to, aby nie dozwolono z nim razem zginąć i najdroższemu dzieciuciu jego, aby mu dopomóżono wydać ostatnie jego dzieło. Autobiografję tę przytaczamy poniżej w dosłownym przekładzie, uzupełniwszy ją kilkoma dopiskami, a wstęp niniejszy kończymy życzeniem, ażeby bolesna skarga i ostatnie już może życzenie sędziwego orientalisty Polaka trafiły do serca rodaków.

„Urodziłem się roku 1797 dnia 1. Stycznia w Bischofsburgu w Warmji z rodziców nie zamożnych.” Stan materialny rodziny naszej pogorszył się jeszcze bardziej przez powtórne ożenienie się ojca mego; macocha moja oddawała się bowiem pijaństwu, a ja jako najmłodszy z licznych rodzeństwa doznawałem najczęściej i najboleśniej wybuchów jej prostactwa. Ta okoliczność była zapewne powodem, że nie skończywszy jeszcze 9 lat powołany zostałem do Grodna na Litwę przez braci matki mojej i moich własnych starszych braci, których dotąd nigdy nie widziałem, a którym matka moja umierając opiekę nademną przekazała. Mój wuj Ciecierski i moi bracia byli w Grodnie zakonnikami reguły św. Dominika. Bracia moi zmienili byli swoje prawdziwe nazwisko Pietruszyński na Pietraszewski, może dlatego, że wielu z bogatej szlachty tak się nazywało, i przymusili mię także do tej zmiany. Zostałem tedy Pietraszewskim, i do dzisiaj tak się podpisuję. Pilnością i wytrwałością zyskałem przychylność i zupełne

*) Ustęp z tego tłumaczenia zamieścił Dz. L.

zadowolenie nauczycieli, i po ukończeniu 7 klas grodzieńskiego gimnazjum miałem wstąpić do zakonu Dominikanów. Mojem życzeniem było jednakże kontynuowanie studiów, łaknąłem bowiem nauki, i aby ją sobie zdobyć pragnąłem najgoręcej dostać się na uniwersytet. Rozgniewało to braci moich, którzy odmówili wszelkiej pomocy mnie biednemu chłopcu, pozbawionemu środków utrzymania się, a obdarzonemu jedynie gorącym pragnieniem uczenia się. Za pomocą moich dobrych świadectw i poleceń od osób poważnych powiodło mi się jednak otrzymać miejsce prywatnego nauczyciela kolejno w kilku bogatych domach obywatelskich, i tak po kilku latach pracy znalazłem się w możliwości osiągnięcia celu życzeń moich, mogłem bowiem udać się do Wilna i zapisać się w poczet słuchaczy tamtejszego uniwersytetu.

W czasie pobytu w Wilnie wpadło mi w ręce Sekowskiego dzieło „Collectanea,” przekład z tureckiego na polskie dziejów wojen pomiędzy Turkami a Polakami staczanych.¹⁾ Sekowski tak pofalszował swoje tłumaczenie, że kochając całym sercem moją ojczyznę bolałem nad tem bardzo i przysiągłem sobie ze łzami w oczach, że się nauczę języków wschodnich, abym mógł sam czytać tekst oryginalny. To była pierwsza święta pobudka, która mię skłoniła do poświęcenia się studjom języków wschodnich.²⁾

O środkach tak niedostatecznych, jak te, które wówczas miałem do rozporządzenia, było rzeczą nie łatwą dostać się do Petersburga. Pieszko odbyłem prawie całą drogę do Rygi, gdzie mi w początku robiono trudności z wydaniem paszportu. Rozpacz uczyniła mnie śmiałym; poszedłem osobiście do władz, które zlitowały się nad moim położeniem, a moje oświadczenie: „chcę się uczyć, a przeszkadzają mi w tem,” wzbudziło nawet niejakię zajęcie się mną.

Pewien żyd pozwolił mi, nie mającemu już ani szeląga w kieszeni, przysiąść się na drączek z tyłu wozu. Siedząc jak na koniu jechałem tak aż do samego Petersburga; ale zawsze tylko z góry, bo pod górę musiałem iść pieszo. Wspominam jednak z wdzięcznością owego żyda, gdyż w czasie tej pięciodniowej, męczącej podróży do Petersburga, okrywał on mię i ogrzewał po nocach jak mógł kocami i workami.

W Petersburgu rozpoczęły się nowe cierpienia. Jako student wileński byłem ubogo ubrany, i dlatego służba nie chciała mię dopuścić do żadnego z ministrów. Dreczony głodem i zrozpaczony ułożyłem prośbę w języku francuzkim do cesarza Mikołaja. Na ulicy przed jego pozwozem padam na kolana; cesarz każe stanąć, adjutant odbiera moje pismo, a policja zabiera mię samego na strażnicę.

(Dokończenie nastąpi).

¹⁾ „Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historii polskiej służących, z dodatkami objaśnień potrzebnych i krytycznych uwag przez J. S. Sekowskiego, profesora zwyczajnego języków wschodnich w ces. uniwersytecie Petersburskim. Warszawa 1824 i 25, nakład Zawadzkiego i Węckiego,” 2 tomy; taki jest zupełny tytuł dzieła, o którym wspomina autor.

²⁾ W przedmowie do jednego z dzieł swoich tak o tem napisał Pietraszewski. „Leczyłem ja natenczas około trzydzięści lat życia mego, gdy dzieło p. Sekowskiego, pod tytułem: Collectanea, które tylko co wyszło z pod prasy, po raz pierwszy czytałem — wrzała krew w mych żyłach podówczas — widziałem oczywistą potwarz, i drudzy ją widzieli także, głosząc z stron wielu w uczonych pismach jasne dowody nieprawdy i niepodobieństwa zarazem, aby Turcy tak źle sądzić mieli o sąsiednim narodzie, z którym chociaż częstokroć i walcząc, żyli mile — lubili go i dziś go nawet lubią, nazywając Polaka: „leh kardasz,” bratem. Do pracy więc! pomyślałem sobie, i jak dzieciak ciekaw poczynając się uczyć języków wschodnich. „Dam nurka, chociażby i w ocean głęboki, mogę się wprawdzie utopić, lecz mogę i wydobyć drogiej ceny perłę.”

Fotografie kobiet.

Przez I. L.

I.

Proszę się nie zrażać tym tytułem szanowna czytelniczko! a przedewszystkiem, proszę nie sądzić, by poniższa fotografia była czemś podobnem do owych portretów, które można było znaleźć w Dzienniku Literackim, w czasach kiedy to polityka była kontrabandą i kryła się w kolumnach, poświęconych beletrystyce i poezji, jak w roku 1863 mój rewolwer w zarekawku, otulającym pewną bardzo piękną — i bardzo dobrą rączkę. Owe portrety i fotografie Dziennika Literackiego wiele krwi napuły różnym ludziom, a w gruncie swoim były one tylko „przeglądem politycznym“ Dziennika, w którym „Zapiski literackie“ miały wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne cechy artykułów wstępnych. Dziś czasy się zmieniły — nowy szereg „Zapisków literackich“ zaczyna na serio zajmować się literaturą, i to galicyjską, której zamierzam niniejszem przysporzyć najpiękniejszą kartę, bo kartę, traktującą o fotografiach waszych, szanowne — omal że nie powiedziałem: kochane czytelniczki! To też klęę się na wszystko w świecie, że fotografie moje nie zepsują krwi nikomu, że nie będzie w nich mowy o pod-hrabinach i pod-paniach, jak w dawniejszym Dzienniku Literackim, o pod-hrabiach i pod-pankach, i że będę unikał polityki, jak procesu prasowego. Już to w ogóle od czasu, jak do politykowania potrzeba nie tylko krzyżeć, ale także i rozumować, nie idę ja w ślady Dziennika Lwowskiego i nie zajmuję się zupełnie polityką. Dawniej, to sobie człowiek bywało wrzasnął na całe gardło (a mam organ nie lada) n. p. tak: „Rodacy! Ażeby zbawić ojczyznę, potrzeba najprzód wywieść wszystkie powagi!“ Rodacy dali brawo, i człowiek został odrazu kierownikiem opinii, trybunem ludu, dyktatorem, a w dalszym następstwie — koziażem i męczennikiem. Dziś to wszystko idzie, Bóg wie po jakimu. Jeden z moich kolegów, jak dawniej, piorunuje na wszystkie powagi, i to od roku, a dotychczas nie tylko że nie jest dyktatorem, ale niewdzięczni rodacy, zamiast bić brawo, śmieją się z niego i żądają rozumowań, opartych na jakichś tam rachubach i wiadomościach, o których mój kolega mniej ma wyobrażenia, niż n. p. o proszkach Sajdliekich, albo o Morysońskich pigułkach. Słowem, polityka stała się rzeczą tak niedostępną, że wymagają, by człowiek skończył całe gimnazjum, nim mu pozwolą zostać mężem stanu. Biorę tedy stanowczy rozbrat ze wszystkimi stronnictwami, i jeśli łaska, proszę was szanowne czytelniczki z sobą, przed wystawę fotografa, pana XX. Obaczmy, co tam się znajduje pięknego i nowego.

Już to ta pierwsza, najpiękniejsza fotografia, tam na górze, tak pięknie aniliną kolorowana, nie należy weale do piękności, ani do nowości. Nie chcę jednak powiedzieć, żeby kiedyś — ale kiedyś, nie była piękną i nie-starą. Przypatrzmy się jej bliżej, i usiłujmy ją najprzód opisać, a potem z tego opisu odtworzyć jej biografję — będzie to studjum, które nam posłuży do nabycia wprawy, wiele przydatnej na dalszych wędrówkach po pod wystawy fotograficzne.

Przedewszystkiem, okreśmy wiek tej pani, którą na wzór matematyków nazwiemy nieokreślonym mianem pani A. Wnosząc z tuszy, cery, koloru włosów i kilku niedyskretnych fałdów na czole i na policzkach, pani A. ma już dość dawno lat 40 — ale jest w jej fizjonomji coś, co nam powiada, że nie ma lat 50. Na palcu lewej ręki widzimy obrączkę; więc pani A. jest mężatką, albo wdową. Ale oprócz tej obrączki widzimy jeszcze 14 innych pierścionków na obydwu rękach, 4 bransoletki, ogromną złotą broszkę, sute perły zamknięte złotym fermoarem, złoto we włosach, w uszach, przynajmniej funtowy złoty łańcuszek od zegarka, i lornetka poprawna w złoto. Wszystko

to odbija bardzo pięknie od czarnej atlasowej sukni i od takiejże mantyli. Pani A. jak widać, lubi okazałość; założyła się, że gdyby miała herb w swoim rodzie, na każdym kółczyku, na pierścionkach, na oprawie lornetki, widzielibyśmy przynajmniej jedną koronę z 5ma, 7ma lub 9ma perełkami. Korony tej nie widzimy nigdzie; pani A. nie należy tedy do herbokracji, ale tem pewniej należy do patrycjatu miejskiego. Tyle złota, pereł i atlasu nie może zdobić żonę lada plebejczyka. — Pani A. musi być jedną z matek stołecznego miasta.

Już i sam sposób trzymania głowy, pełen poczucia własnej godności, wskazuje nam, że pani A. niejedyn bal, dawany na cele dobroczynne, rozpoczęła w parze z ludźmi, którzy mieli mitry i korony dziewięciopalczkowe na drzewczkach u swoich karet. Lornetka oprawna w złoto i w perłową macię, powiada nam dalej wyraźnie, że świat dla pani A. ma jeszcze pewne powaby, które ona uważa za godne widzenia. Nie kuśmy się odgadywać, w którym pułku służą te powaby; ograniczmy się na spostrzeżeniu, że nie mogą one chodzić piechotą...

Na podstawie tych wszystkich uwag, możemy już przystąpić do skreślenia życiorysu pani A. — Lat temu dwadzieścia kilka, była ona panną X. miała piękne czarne oczy i włosy, białą bardzo pleć, pulchne rączki i czarujące dołki w policzkach i wszędzie, gdzie jest nato miejsce stosowne. Umiała po francuzku z Meidingera gramatyki, pisywała do zamężnej już koleżanki listy, w których znajdowały się figury ortograficzne, jak n. p. „twui monsz“, grała na fortepianie i tańczyła bosko „Spitz“ polkę i „Schottisch“ polkę, jakoteż wszystko, co wówczas tańczono. Wzdychał za nią najprzód „direktor“ który udzielał korepetycyj jej młodszemu bratu, póki nie wstąpił do seminarjum, zkąd wyszedłszy ożenił się z dziekanówną i został gdzieś na wsi dobrodziejem. Później, gdy pannę X. wprowadzono w świat, t. j. na bale publiczne, zaczęli za nią wzdychać inni młodzieńcy, coraz to doroślejsi i bliżsi ukończenia studjów, aż w końcu zaczęła wzdychać i panna X. ale niestety — nie za żadnym z owych młodzieńców! Umysł jej szukał czegoś wyższego, niedosięgniętego, tam gdzieś aż w chmurach, w gwiazdach, kiedy przebywają aniołowie. Zwierzała się z tem nieraz przed swoją przyjaciółką, panną Y. i obydwie ubolewały, że aniołowie są tylko szczerymi duchami, i niczem więcej. Pana X. przyszła nakoniec do przekonania, że między prostym śmiertelnikiem a aniołem jest jakiś środek, i że środek ten zajmuje najprzystojniej pewien porucznik od huzarów, istny anioł z podkręconym do góry wąsikiem, w białych chciałem mówić, w białym niższym ubraniu i w czerwonym spencerze, bo wówczas jeszcze huzary nosili czerwone spencery. Miał on wszelkie dobre przymioty anioła, a oprócz nich ten jeszcze jeden, że nie był pozbawionym ciała, jak mieszkający gwieździstego przestworza niebios. Seraf ten w dołmanie, zastępującym miejsce skrzydeł, stał się powodem, że nadaremnie o rękę panny X. oświadczał się koncepts-praktykant, a potem ofiejał, a potem komisarz, a nakoniec i sekretarz. Latka mijaly, dorastały inne panny, które umiały również doskonale Meidingera i tańczyły Schottisch-polkę, i zostawały z kolei wzorowemi żonami i matkami, a seraf co rana o tej samej godzinie na kasztanku białonogim robił „fensterparade“ pannie X. jadąc na maneż, i co rana o tej samej godzinie dwoje czarnych oczu wyglądało przez wasisdas i dwa dołki w okrągłutkich, pulchniutkich policzkach zalewały się karminem. Nakoniec pewnego poranku, w roku 1848, cała zgraja pospolitszych aniołów, z serafem na czele, pocwałowała za Karpaty, zostawiając we Lwowie tylko kasę pułkową, zupełnie nb. prózną, i dwie pary ostrogów, które bez swego pana nie chciały, czy nie umiały robić fensterparady. Wówczas to lży na pięknem licu panny X. naszkicowały owe dwa, już nie dołki, ale ro-

wki, które z czasem zarysowywały się coraz głębiej i głębiej, i które widzimy obecnie na fotografii — jako zmarszczki. Szczęściem, panna X. nie straciła przy tem apetytu i wyglądała tak hożo, że pan A. człek zamożny, stateczny i osiadły, wziąwszy pod ścisłą rozagę cyfrę kapitaliku, stanowiącego jedną z jej mnogich zalet, postanowił uczynić ją drugą swoją połową, a kapitalik drugą połową swojego mienia. Tak się też stało. Panna X. została panią A. ośmnaście lat przeszło po pulchniutkich policzkach i po wszystkich innych jej wdziękach, przybyło atlasów, pereł i złota, i w końcu zrobiło się to, co widzimy na fotografii. Z młodości uleciało wszystko: i Meidinger i Schottisch-polka, zostało tylko pewne nieokreślone upodobanie w owych istotach, stanowiących przejście od człowieka do anioła, została i ortografja, a przybył „mui monsz“ i przybyła śliczna, dziś już siedemnastoletnia córka, która ma także dołki w policzkach, i która także co rana o tej samej godzinie wygląda przez wasisdas. Widzimy jej fotografię tuż obok zacnej rodzicielki, i czytamy jej przyszłość w opisanej powyżej przeszłości. Tylko zamiast Meidingera, nastal Olendorf, a zamiast Schottisch-polki, tramblantka; zresztą zaś zamilowanie do muzyki tak się rozpowszechniło, że godziny fortepianowe nie zostawiły miejsca nawet na tyle ortografji, ile jej umiała mama...

Ale dość już tego, by łaskawe czytelniczki usnąć na cały tydzień. W przyszłym numerze, przejdziemy do innych fotografii, a może znajdziemy twarze więcej znajome i życiorysy, nastrożające więcej interesu.

Korespondencje.

Paryż — Champ de Mars 1867 r.

(Dokończenie).

Od wystawy etnograficznej, leżącej we francuzkim wydziale, przejdźmy do innych ciekawych przedmiotów tegoż wydziału. — Najbliższym z nich będzie zegar dzwonowy (carillon) wydający po wybieciu każdej godziny, muzykę dzwonową. Muzyka ta, zaiste, jest dziwnie oryginalną i wzbudza pewne uczucie przykrości, jak gdyby przerażenia. — Zdaje się czasami, słuchając tej muzyki, że to jest uderzenie na gwałt, że to muzyka pożaru i rzezi. Jest prztem pewna chropowatość dźwięków, która się wielce przyczynia do nadania tej muzyce złowrogiego kolorytu. Co godzina tłum ciekawych otacza zegar, przysłuchuje się jego dźwiękom i przypatruje się przez szkła rozhojdanym sercom dzwonów; serca te chodzą bardzo posłusznie, bo uwiązane są na sznurkach. A serca ludzkie? piękna czytelniczko!... Zostawiam szerokie pole do bujnych porównań.

Od dzwonów do *aquarium* „wstąpił do piekieł po drodze mu było.“ *Aquarium* leży w grocie, a grota leży w skale, a skala przypomina trochę skały waszego teatru lwowskiego. Chcę powiedzieć, że skala jest sztuczną, zarówno z całą przyrodą pola Marsowego w tym roku. Kto całe życie przemieszkał w Paryżu i ma tylko mętne wyobrażenie o tych stronach, gdzie domy nie cisną się ku sobie, jak spierające się konie na moście, gdzie drzewa rosną nie w ogrodach, a ptaki śpiewają nie w klatkach, a rzeki płyną nie w murowanych brzegach — dla tego skala, o której mówimy, może się wydawać dzikim a wspaniałym szczytem, na widok którego straszne myśli przechodzą do głowy, myśli wyjęte z romansów Févala. Nie-paryżanie, a szczególnie mieszkający Alp, spoglądają na tę skałę jako na tort spory, we środku z mąki, i Bóg wie czego, zwierzechu cukrem obłany. Doprawdy innego porównania dla tej skały znaleźć nie mogę. W skale jest grota, dokoła grotty *aquarium*. Przechadzając się po grocie widzimy przez szyby

szklane, stanowiące boki groty rozmaitego rodzaju ryby pluskające w wodzie. Ryby są naturalne; a proszę się nie śmiać moje panie, bo Paryżanie potrafią wkrótce i sztuczne ryby stwarzać, podobnie jak teraz robią z królików zające, a ze szczurów króliki, o czym niech zaświadczy kuchnia francuzka, położywszy rękę na sercu. Ryby są naturalne powtarzam, i każda rodzina ryb ma osobną przedziałkę. Przedziałki te jednak tak są misternie urządzone, że dla oka ludzkiego w grocie zlewają się w jedną całość, w jedno wodne koło, napełnione mnóstwem ryb i innych istot wodnych.

Aquarium leży w tak zwanym *jardin reservé*; jest to rodzaj raj, do którego się wchodzi na wstawienie się pięćdziesięciu centymów francuzkich. W tym raj, jak już powiedziałem, natura nie jest wcale w stanie dziewiczości, i daleko stosowniej da się porównać do pobielonej, wymalowanej, i pokrytej strzechą cudzych włosów kokietki, niż do prostego a naiwnego dziewczęcia. Jak ongi w raj Adamowym, płyną i tutaj strumienie; ale jakie? Nietylko gęsi, ale najpierwsza elegantka świata może z nich czerpać z najczystszym sumieniem. Dno tych strumieni jest sztuczne i tak połyska, jak dobrze wyczyszczona miednica cynowa. — Ogród ten jest napełniony rozmaitymi altanami, kioskami, inspektami; jest także piękna cieplarnia z posągami cesarzowej Eugenji. Z altan najpiękniejszą jest szklana o dużych różnokolorowych szybach; zresztą wszystko to są zabawki dziecinne dla starych dzieci.

Rozmaitości.

— Stanisław Duniecki, kompozytor Paziów królowej Marysieńki, która sownie wypłaciła się dyrekcjom, wchodzi w umowę z miejscową sceną o nabycie jego nowej operetki pod tyt.: Doktor Pandolfo. Duniecki obecnie zostaje w Pradze, jako stały kompozytor opery czeskiej. Co go zmusiło do szukania zarobku po za obrębem ziemi ojczystej? Niech odpowiedzą dyrektorowie teatru Lwowskiego i Krakowskiego. Wiedeń, Praga, Berlin oddają część należną talentowi — Lwów i Kraków umiały go tylko dla celów swych waleczyć.

— Bruk lwowski jest w spółce z szewcami — bo psuje buty; teatr niemiecki — z żydami, bo ma z nich dyrektorów; poczta zaś lwowska — z naszym utrapieniem!... Zaledwie do trzech numerów dostarczyłem nowin, a nowe buty poszły — do szewca, dla naprawy; przez ten czas słyshałem w operze niemieckiej sześciu tenorów pięknie śpiewających na afiszu, a tylko otwierających gęby w teatrze; — na poczcie zaś... najpierw z biedą zaledwie znalazłem ją przy ulicy, którą dotychczas raz do roku zwykłem był odwiedzać; następnie chcąc oddać dość ważny list, czekałem literalnie godzinę w wązkim przedpokójku przepelnionym interesowanymi, którzy łokciami torowali sobie drogę do okienka, z za którego ukazywał się ludowi poważny urzędnik, zaledwie dwudziesty list będąc w stanie przyjąć na pocztę. Po godzinnym oczekiwaniu, wyszturkany należycie przez synów Izraela, którzy i na poczcie praktykują metodą *szturchańców*, zamiast oddania listu, odprawiony zostałem przez urzędnika do trafiki, po marki... bo ich na poczcie nie było. Godzina wybiła, spóźniłem się, i mój list został w kieszeni!... Za granicą widywałem nawet w mniejszych miastach, po kilku urzędników przyjmujących listy, w kilku pokojach i zaopatrzonych w stopy marek; ale to za granicą... Tutaj zaś — moja wina, że się w marki nie zaopatrzył, i że nie jestem dość silny, ażeby przez tłum zrobić sobie drogę do okna, i tym sposobem uwolnić się od godzinnego czekania i szturchańców. Prawa! *Mea culpa*... Już o tem ani słowa więcej.

— Wyjść na słomki, a wpaść na niedźwiedzia — rzecz nie miła, szczególnie, gdy się ma strzelbę nabitą drobnym śrótem; a jednak tak się stało niedawno z pewnym myśliwym na Bukowinie, z którym byłoby źle, gdyby inny jego towarzysz kulą nie położył amatora miodu i ludzkiej skóry. Upolowawszy tego rodzaju słomkę, myśliwi chcieli ze zdobyczą powrócić do domu — gdy w tem wypada z lasu rozjuszona niedźwiedzia, zapewne czeigodna małżonka nieboszczyka, i z rykiem rzuca się na morderców... pojmując je-

dnak całą wagę wynalazku owego, który proch wymyślił, zostawia drogę zwłoki w ręku morderców, rzuca się na spokojną krówkę, mogącą najbezpieczniej figurować w sielance, rozrywa ją; dławi po drodze konia, i znika w lesie, zostawiając myśliwych wielce zadziwionych, że nastąpiło krwawe rozwiązanie tego, co oni sądzili być tylko prostą igraszką.

— Donoszą z Paryża o śmierci prawie równoczesnej dwóch znakomości politycznych: O' Donnella i Duchatel. Pierwszy pochodził ze starożytnej rodziny irlandzkiej, i jeszcze przed niedawnymi laty piastował urząd Prezydenta ministrów w Hiszpanji; znaczną rolę odegrał w ostatnich czasach w dziejach tego kraju. Po sławnych zwycięztwach w Marokko ofiarowano zmarłemu księstwo Fentan. Dnia 6. grudnia 1866 roku goził na jego życie pewien na umyśle cierpiący człowiek, lecz attentat szczęśliwie odwróconym został. Jemu to zawdzięcza rząd hiszpański zdobycie i wzięcie w posiadanie San Domingó, i znaną ostatnią interwencję w sprawie meksykańskiej. Duchatell należał do znakomości jeszcze z czasów filipińskiej epoki, a podczas lutowej rewolucji piastował urząd ministra spraw zewnętrznych.

— P. Eder urządził w hotelu Angielskim wystawę stereoskopową, i zdjął kilkanaście widoków miasta Lwowa. Fotografie te godnie rywalizują z fotografiami p. Szajnoka.

— Jedną z ważnych manifestacji opinji publicznej w Turcji jest organ Młodej Turcji, wychodzący tygodniowo w Londynie w języku tureckim pod tytułem *Mukhbir* (Przestrzegacz). Redaktorem głównym jest emigrant turecki, wielkiej zdolności *Uhlema*, to jest należący do stanu duchownego; dziennik ten bardzo już jest upowszechniony w Turcji. Wiadomo, że stronnictwo zwane Młodą Turcją, na którego czele stoi brat wicekróla egipskiego, książę Mustafa Fazyl Basza, obecnie będący w Stambule, liczy w sobie wiele dostojnych Turków, i składa się z ludzi wyższego ukształcenia; Fazyl jest bardzo Moskwie przeciwny i pracuje nad odrodzeniem państwa ottomańskiego na drodze cywilizacji i wolności religijnej i politycznej. Tegoż samego dziennika wyszło także kilka numerów w języku francuzkim.

— Wiele oklasków — mało publiczności; dobra gra, i śpiew znosny — to koncert p. Szczepanowskiego, o którym zdać sprawozdanie szczegółowe jest rzeczą Kroniki artystycznej. Tu notujemy tylko, że miał on miejsce d. 12. listopada w sali ratuszowej.

— W czasach kiedy Lwów miał gwardję narodową, pewien syn Izraela stał na warcie koło prochowni, z wielkim karabinem na plecach i z większym jeszcze strachem za plecami: by go nie spotkało jakie nieszczęście. Był on spokojny żydek, miał w domu ciepłą pierzynę i u drzwi zasówkę; a tu go pozostawiono samego na Wysokim zamku, i kazano pilnować jak oka w głowie czego nie schował, i co mu wcale nie było droższem od oka! Drzał febrycznie z chłodu i strachu, nucił majufys, i dla nabrania odwagi wprawiał się w marszu, głośno powtarzając.

— Lewa, prawa! prawa, lewa!

Naraz spojrzy, i krew mu w żyłach zastęła, a zęby poczęły naśladować fortepianowe klawisze pod uderzeniami wprawnego grajka: dwóch olbrzymów wyszło z krzaków ogrodowych, wprost ku rycerzowi zmierzając. Rycerz struchlał, bo był pewnym, że to co najmniej Turcy lub Tatarzy; przytulił się do karabina, i już - już miał osunąć się na kolana wołając *pardon!* gdy olbrzymi spokojnie minęli go, udając się drogą do miasta. Duch wstąpił w gwardzistę. Nie byli to Turcy, ale spokojni mieszczanie lwowscy. Animusz rycerski wstąpił w rycerza, i gdy już przechodnie byli o dobrych parę sążni, zawołał on głosem donośnym.

— Kto chodzi?

— Swój! — odpowiedział mu jeden z przechodniów.

— A ten drugi czyż? zapytał gwardzista; ale odpowiedzi nie otrzymał. Rzecz to nieco stara; ale nie gorsza od niejednych „drobjazgów.“

— W pałacu wystawy przy wypakowywaniu przedmiotów wychodzą na jaw dziwne rzeczy; tak naprzykład odkryto przy oddziale przeznaczonym dla produktów Włoch, że olbrzymi sér, o którym w swoim czasie dzienniki donosiły, okazał się próżnym we środku... oczewiście składają winę na psotnych szczurów. Austrjacy zaś znaleźli w jednej z pak nader kosztowny puhar zrobiony z krzysztalu górskiego, któren miano za zgubiony.

— Offenbach wykończył nową operę w rodzaju znanego „Życia paryskiego“ pod tytułem: „Zbójcy.“

— Naj. Pan przed odjazdem swoim z Paryża ofiarował 50.000 franków na rzecz ubogich miasta.

— Moskale ażeby tylko nawrócić mieszkańców Kaukazu na prawostawie, tłumaczą księgi święte i piszą elementarze w ich narzeczach. — W Polsce jednak trzymają się taktyki przeciwnej, bo zmuszają Polaków do wyrzeczenia się mowy ojczystej. O, despotyzmie! jakich że to nie chwytasz się środków dla dopięciu celów swych nieludzkich.

— W Petersburgu drukuje się obecnie historia Galicji, a właściwie Rusi halickiej, wraz z historją innych słowiańskich narodowości. Wydawnictwo to ma cel panslawistyczny. Gotowego źródła do historii tutejszej Rusi dostarczyły moskalom kroniki Galicji Zubrzyckiego i profesora Szarańwicz, którego dzieło, p. t. „Historja Halycji“ nie może być uważane za nic innego, jak tylko za lichą kompilację.

— Polityczne dzienniki francuzkie rozchodzą się w następującej liczbie egzemplarzy: Siécle 36.667, Figaro 35.939, Liberté 30.400, Courrier français 16.620, Opinions nationale 14.300, Patrie 12.000, Débats 9.910, Temps 9.000, Avenir national 7.167, Univers 6.967, France 6.667, Gazette de France 5.300, Epoque 4.166, Situation 3.666, Monde 3.300, Etendard 3.000, Pays 2.667, Journal des Villes et des Campagnes 1.600. A u nas?...

— W kopalni węgla Shank House w Anglii woda wdarła się nagle do szybu i zatopiła dwustu ludzi, właśnie w chwili, gdy mieli być wyciągnięci w górę.

— Obecnie najbardziej czytane w Niemczech jest dzieło siedmiotomowe byłego cesarza Meksyku Maxymiljana, zawierające wspomnienia jego podróży po Brazylii w roku 1860 odbytej. Dział poezji zajmuje niepoślednie miejsce, szczególnie w 3 ostatnich tomach, i świadczy o humorze i poetycznej duszy zgasłego. Są to częścią obrazy zwrotnikowej przyrody, częścią anegdoty z wielkim humorem i naturalnością kreślone.

— Ameryka cieszy się obecnie wielkim napływem europejskich pierwszorzędných znakomitości artystycznych. W Nowym Jorku grywa obecnie artystyczne Towarzystwo p. Ristori, La Grange zachwyca swym śpiewem; koncerta przez pierwsze znakomitości wykonywane, występy solo śpiewaka Leopolda Mayera, śpiewaczki Parepa otoczona aureolą mnóstwa trabantów tych słońc — wszystko to w niezwykły sposób oddziaływa na niegrzeszące zbytnią czułością nerwy Amerykanów. Oprócz tego istnieje tamże opera włoska, opera komiczna, dwa balety; a sławna Fany Janouszek zamysła temi dniami dać kilkanaście przedstawień ze swem licznem Towarzystwem. Jakby do uzupełnienia tego siedliska muz pp. Dumas i Dickens odpyływają do Ameryki zając nowy świat świetnymi swymi odczytami.

— Uciekające pakunki ciężarowe. Pewien jegomość ze wsi, chcąc przyjacielowi swemu w Peszcie zrobić niespodziankę, podchował dwa zające, owinął im głowy płatami napuszczonemi chloroformem, i uśpione tym sposobem, posłał koleją do Pesztu jako ładunek ciężarowy.

W Peszcie przy wyładowaniu wozów, zsunęło się jednemu zającowi chloroformowane owinięcie głowy, i rozbudzony szarak zaczął ku wielkiemu zdziwieniu obecnej służby kolejowej rwać w pole, wlokąc za sobą przywiązanego, także martwego na pozór towarzysza. Można sobie wyobrazić zdziwienie patrzących na to, gdy po jakimś czasie i ten drugi zając zerwał się, i godnie dotrzymując pierwszemu, w szerokich skokach znikł w polu. Łatwo odgadnąć, że on także z tej samej przyczyny ożył, jak pierwszy.

Zapytany przez oddawcę zarząd o los powierzonej przesyłki, dał następującą odpowiedź: Pakunki ciężarowe Nr. 316 i 317 nie zostały oddane adresatowi, bo — uciekły. „Zarząd kolei nie czuje się być obowiązany do wynagrodzenia oddawcy, bo wedle przepisu, ma on płacić za przesyłki uszkodzone lub stracone, ale nie za takie, które uciekają.“

— (Romantyczna parka.) Pewien szesnastoletni kawaler, zabiegłszy myślą w pełne romantyzmu czasy średniowieczne, gdy mu odmówiono ręki, porwał swą 13letnią bohdankę i uwiozł... zapewne zawiózłby ją za siedm rzek i gór tyleż; ale mu zbywało na kapitalach, i młoda para widziała się zmuszoną schronić do Wiednia, gdzie ją podobno wykryto. Mąż i żona razem nie mający lat 30 — to się nazywa zacząć żyć wcześniej! I pocóż tu włoskiego nieba?!

— Rzecz godna uwagi jak Czechów mało interesuje własna narodowość! Zniemczeni w swej szlachcie, obecnie pchają lud i klasy średnie w ramiona moskwicyzmu, głośno wołając, że czynią to dla uratowania swojej narodowości. Piękny ratunek!

— (Teatr.) W piątek 8. listopada przedstawiono na naszej scenie po raz pierwszy, komedję historyczną J. Szujskiego w pięciu odsłonach p. t. *Agam Szmigielski*.

Jest to jeden ze słabszych utworów tego pisarza, zaledwie naszkicowany. Dobra gra niewątpliwie podniosłaby jego wartość; ale w przedstawieniu piątkowem nie miała ona miejsca, z wyjątkiem roli Dembosza, którą p. Linkowski pojął i przedstawił należyście. P. Miłaszewski był niefortunnym Szmigielskim, już to dla swej wieczystej chrypki, już też dla gry nie wystudjowanej, (że pominiemy nieumienne roli), Pani Szymańska, jak zwykle, miała chwile szczęśliwe; ale tylko chwile. P. Wilkoszewski zrobił co mógł z małej swej roli. Sztuka sama, pozbawiona zalet wyższych nie zajęła publiczności, i wątpliwy czy zdoła utrzymać się na repertoarze — chociaż niewątpliwie lepszą jest od utworów niemieckich i francuzkich, którymi łaskawie obdziela nas dyrekcja. A niechże nam wolno będzie zapytać: co chciał śpiewać p. Miłaszewski, bo nie śpiewał? Czy w istocie miała to być dumka ukraińska? i jakiego rodzaju było ubranie, które miał na sobie Szmigielski, przebrany za teorianistę?...

Mody. Najbardziej modnymi są dzisiaj materje wełniane, które wyrabiają się w tysiącznych gatunkach; za tem idzie atlas, bądź do ubrania tylko, bądź też na całe suknie; wreszcie na zimę będą w użyciu ubiory kobiece sukienne. Wszystko to ubiera się paciorkami, i robotami szmuklerskimi. Zawsze jeszcze noszą dwie spodnice: dłuższą i krótszą wierzchnią; paletoty także krótkie. Najmodniejszymi są suknie krótkie; ale ubiór salonowy odznacza się długimi ogonami.

Przy polonezkach, które coraz bardziej bywają noszone w Paryżu, spodnica nie podwójna. Fason kapeluszy ma być zupełnie zmienionym. Jakim on będzie? to dotychczas jest jeszcze tajemnicą. Wiemy tylko, że kapelusze mają być zupełnie różne od dzisiejszych, misternie zrobione i trudnej roboty. Paryżkie panie z wielkiego świata silą się wszelkimi sposobami wyróżnić się strojem od osób nie z ich grona. Podajemy tu na rycinie wzory kapeluszy mody najświeższej.

Fig. nr. I. Kapelusz czarny aksamitny (Marja Stuart.) Czółko w żąb zaokrąglone i mocno wygięte po bokach, całe obszyte sznurkiem srebrzystym. Ten kapelusz ubrany jest w tyle szeroką szarfą (barbe) koronkową, która spadając, tworzy wiązanie przy twarzy. Ptaszek długopióry (rajski) przypięty na przodzie przykrywa większą część wierzchu kapelusza.

Fig. nr. II. Kapelusz aksamitny (do wyjścia zewnętrznego) z denkiem gładkim, otoczony szeroką koronką spiętą w tyle, której końce spadają wolno. Przy twarzy rulonik aksamitny.

Fig. nr. III. Czepek zrobiony z wstążek, obsyty koronką, ubrany kokardami i pukielkami, szarfy szerokie koronkowe, przez środek aksamitką przesyte, związują się w tyle pod włosami zką spadają.

Fig. nr. IV. Kapelusz aksamitny nowej formy, z denkiem przefaldowanym, czółko z jedwabnej materji dobranej do koloru, okryte koronką, na około obszyte podłużnymi białymi paciorkami. Piękne róże z liściem złotem przystają ten kapelusz.

Z magazynu mód Władysława Lewickiego.

Ekspedycja „Nowin“ zawiadamia szanownych Prenumeratorów, że każdy z numerów pisma ma tylko jeden dodatek: rycinę, kroje, lub też nuty; reklamacje więc żądające dwóch dodatków nie mogą być uwzględnione. Nadspodziewany popyt o mody spowodował wyczerpienie nakładu i chwilową zwłokę w ekspedycji. Z dzisiejszym numerem rozsyłamy rycinę mód, jako dodatek do I. Nr. „Nowin“ tym szanownym Prenumeratorom, którzy jej dotychczas nie otrzymali.

Dodatek: kolorowana rycinę mód.

T R E Ś Ć :

Moskal. (Ciąg dalszy). — Kijów. — Z Hejnego. — Autobiografia orientalisty Polaka (przez Ł. Tatmirę). — Fotografie kobiet. — Korespondencja z Paryża. — Rozmaitości. — Mody.